

---

## MOJE DZIECIŃSTWO

---

Cichy domku modrzewiowy, otoczony cieniem drzew!  
Jak cię uczcić, brak wymowy. Bije serce, płonie krew.  
Cichy domku, wiekiem zgięty, otulony w żywy płot,  
Witaj, wspomnień skarbie święty, praojcowskich skarbie cnót!

CHECIŃSKI

Urodziłem się w roku 1875 w Bobrownikach, leżących u ujścia rzeki Wieprza do Wisły, w okolicy Puław, Dębłina, Kazimierza, Sieciechowa, Steżycy, Gołębia. Wprawdzie nizinne okolice nadwieprzańskie niezbyt może są malownicze, ale za to wybrzeża o parę kilometrów oddalonej Wisły obfitują w miejscowości, które zalicza się do najpiękniejszych w Polsce.

Dokoła znaczyły się ślady minionych wieków: pałace Mniszków i Jabłonowskich w Dęblinie czy Czartoryskich w Puławach, zamki w Bochothnicy, Kazimierzu i Janowcu, kościoły tak piękne jak w Kazimierzu, Gołębiu, Kurowie, Końskowoli, Puławach czy Steżycy, prastare opactwo w Sieciechowie, a także stary kościół z końca XVI stulecia w moich rodzinnych Bobrownikach.

Stara kultura wywarła wpływ na lud miejscowy, który był tu bardziej uświadomiony niż gdzie indziej, a choć ciążyło nad okolicą sąsiedztwo potężnej twierdzy w Dęblinie, korzenie starej tradycji były silne i nie udawało się zaborcy jej zniszczyć.

Bobrowniki leżały w pobliżu fortecy zajmującej rozległe obszary oraz obok olbrzymich leśnych dóbr księcia Paskiewicza.

Wobec takiego położenia sąsiedztwo było nieliczne i dom moich rodziców dość osamotniony, tym bardziej że nawet probostwu rodzice, o ile pamiętam, zbytnio się nie naprzykrzali, częściej probostwo im.

Z jednej strony, o 6 kilometrów od nas mieszkali państwo C., rozmilowani w karciarstwie i pijaństwie, z drugiej strony Bobrownik mieszkali w Kośminie Tadeuszostwo Kossakowie, z którymi rodzice moi utrzymywali sąsiedzkie stosunki. Tadeusz Kossak, syn Juliusza, był bliźniaczym bratem Wojciecha, a ojcem Zofii Kossak-Szczuckiej.



Ojciec mój, człowiek o wielkiej ogładzie towarzyskiej i uprzejmości, onieśmielał okolicznych szlagonów swą kulturą i zainteresowaniami społecznymi, wobec czego w domu naszym widywano głównie osoby ze stolicy. Najczęstszymi gośćmi byli profesor Anatol Sokołowski, Bolesław Lutomski, literat, a przede wszystkim Konrad Prószyński, „Promyk”, redaktor ludowej „Gazety Świątecznej”, który przyjeżdżał wraz z dwoma synami, moimi rówieśnikami.

Większą część dnia ojca pochłaniało przeglądanie prasy, która przychodziła do nas w obfitości, z „Ateneum”, „Niwą”, „Prawdą”, „Krajem”, „Kłosami” i „Tygodnikiem Ilustrowanym” na czele. Ojciec bowiem był współpracownikiem „Ateneum”, „Kraju” i „Prawdy”. Pisywał najczęściej pod pseudonimem „Rola” lub „Rolicz”.

Gdy obecnie analizuję poglądy ojca, wydaje mi się, że należał on do tak zwanych chłopomanów. Ale jego chłopomanstwo nie było tego typu, jakie było wtedy modne wśród pozytywistów; wypływało ono z tego, że uważał lud za nosiciela tradycji narodowej, słabnącej powoli w ówczesnej Polsce. Poza tym powszechna płytkość większości szlagonów tych czasów odstręczała ojca od tej sfery, a zwracała go ku ludowi, tym bardziej że w okolicznych wsiach bezpośrednio z nami sąsiadujących rozsiadł się ród chłopski wyjątkowej wartości moralnej o godnym nazwisku Wojewodów. Odznaczali się Wojewodowie rasowym wyglądem, poczuciem społecznym i dużą solidnością. Mieli oni wielki wpływ na wsie okoliczne, choć nie należeli do bogaczy.

Gdy dzisiaj wspominam postacie tych dorodnych, wysokich chłopów, nie dziwię się, że ojciec taką radość odczuwał w obcowaniu z nimi, w nich bowiem widział przyszłą Polskę.

Zachodzili ci gospodarze do nas, najczęściej w niedzielę, po kościele, aby dowiedzieć się, co słyhać w szerokim świecie, oraz otrzymać gazety, które ojciec specjalnie dla nich prenumerował. Pogawędki, którym skwapliwie się przysłuchiwałem, tchnęły powagą i wyjątkowym skupieniem. Widać było, jak ci ludzie chłonęli każde słowo mojego ojca.

W stosunkach tych, które można porównać do stosunku ojca do syna (choć niejednen z tych gospodarzy był znacznie starszy od ojca), znać było wzajemny szacunek.



Często ojciec wymagał, bym i ja zabierał głos, wyjaśniając coś z historii czy geografii. Robiłem to chętnie, bo wbijało mnie w niezwykłą dumę, że ja, mały dzieciak, starszych pouczyć mogę, tym bardziej że kiedyś mówił, widziałem w oczach tych ludzi podziw i przywiązanie.

Zdarzało się nieraz, że ojciec brał mnie ze sobą w odwiedziny do Ludwika czy Jana Wojewody. Zwyczaj odwiedzania tych gospodarzy utrzymał się u nas długie jeszcze lata po jego śmierci.

Obyczaje te wytworzyły wyjątkowo sympatyczny stosunek niektórych wsi z naszym domem i to obdarzyło moje dzieciństwo nastrojem pogody i bezpieczeństwa. Wszędzie, gdzie się ruszyłem, widziałem witające mnie przyjazne spojrzenia. Toteż jako mały, ośmioletni chłopiec włóczyłem się na kucu samotnie po polach i lasach, otoczony gromadą psów, a w domu nikt się temu nie sprzeciwiał, wiedziano bowiem, że wszyscy dokoła się mną opiekują.

W tych warunkach mogłem rosnąć od mała na zupełnej swobodzie, obcując wyłącznie z sobą i naturą. Gdy brat mój wyjechał do szkół do Warszawy, a ja pozostałem sam jeden w domu, bym nie wyrósł na sobka, zwoływano ze wsi na zabawy ze mną dzieci niektórych gospodarzy. Byli to moi pierwsi niezapomniani towarzysze. Toteż śmieszna wydaje mi się obawa, często jeszcze spotykana u rodziców ze sfery inteligencji, przed obcowaniem ich dzieci z dziećmi wiejskimi. Zapewniam, że tak zwane „niestosowności, nieprzyzwoitości i zgorszenia” dosięgły mnie dopiero przez dzieci „dobrze wychowane” w mieście.

Wspomniałem już, że rodzice moi nie naprzykrzali się zbytnio kościołowi. Nie znaczyło to bynajmniej, by byli ateistami, jak to w epoce pozytywizmu było modne. Nie. Ci ludzie, patrząc na wsi od rana do nocy na naturę i jej cuda, na jej mądrość, znacznie wyższą od mądrości mędrców świata, w całej naturze widzieli Boga i ja go wtedy w niej widziałem.

Patrzyłem na misteria nabożeństw w naszym bobrownickim kościele, na monstrancję tonącą w obłokach kadzideł przy potężnym hymnie „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny” oraz na zespolone w modlitwie tłumy jako na jeszcze jeden cud.

Dziwiłem się tylko wtedy, dlaczego rodzice moi, ja, lud cały,



ziola, kwiaty mają dostęp do misteriów kościelnych, a moim psom i koniom dostęp do kościoła wzbroniony. Przecież mój Stwórca jest także ich Stwórcą? Może one tego nie pojmują, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że jest On ich Bogiem tak samo jak moim.

Ojciec często mówił do mnie i brata mego: „Idźcie, dzieci, do kościoła dla wykazania łączności z ludem.” Znowu trapiły mnie te same wątpliwości: dlaczego tylko z ludem, a nie z całym żyjącym światem?

Przed kilkunastu laty podczas mego pobytu na Huculszczyźnie stanęły mi żywo przed oczami moje dziecinne majaczenia i radością zabiło serce, kiedy przed cerkwią na cmentarzu zobaczyłem po społu Huculów, Huculki, Huculątka i ich konie, a gdzieniegdzie ujrzałem zabłąkaną psinę. Zdawało mi się, że wszyscy oni tam po swojemu Boga chwalili...

Tak żyjąc dorosłem do lat dziewięciu. Ojciec wtedy zawiózł mnie do Gołębia. Była to wieś o 7 kilometrów od nas odległa, wysoce kulturalna, znana w historii z bitwy ze Szwedami oraz z konfederacji. Pośrodku niej, niedaleko od wyjątkowo pięknego kościoła, stała szkoła ludowa. Nauczycielka tej szkoły, panna Pelda, była pochodzenia czeskiego. Osoba ta zapalała miłością do Polski i całe swe życie poświęciła ludowi polskiemu. Kiedy przestała być nauczycielką, wyszła za mąż za Czecha, pana Posmiske, i pisywała pod pseudonimem „Antoszka” czytanki ludowe. Rząd rosyjski grubo zawiódł się na niej, dając jej w Gołębiu zezwolenie na nauczanie, liczył bowiem na jej procarskie sympatie. Tymczasem stała się ona w Polsce zaciętrzewioną polonofilką, usposobioną wrogo do polityki zaborcy.

Ojciec powiózł mnie do tej szkoły, bym zdał egzamin wraz z chłopcami ze wsi z kursu szkoły powszechnej. Był to krok na owe czasy wysoce rewolucyjny. Żaden bowiem szlachetka z tych czasów nie mógłby się zdobyć na to, by swoje „pańskie” dziecko z chłopskimi synami społem na jednej ławie szkolnej posadzić. Mógł to zrobić jedynie człowiek o głębokim umyśle, pewny swej kultury, który wierzył, że korona z głowy mu nie spadnie z powodu tego kroku, a jeśliby spadła, to jedynie z mojej winy, gdybym okazał się głupszy niż dzieci chłopskie. Krok ten miał dla mnie wyjątkowe znaczenie wychowawcze.



Po urzędowym egzaminie odbyły się popisy. Dzisiaj jeszcze stoi mi przed oczami czternastoletni chłopak deklamujący *Dumę o hetmanie Żółkiewskim* Niemcewicza. Pamiętam, jak łyzy mi popływały z rozrzewnienia, gdym słyszał syna chłopskiego deklamującego tę *Dumę*, i jakim maciupkiem poczułem się ja, syn „pański”, wobec tego chłopaka z gołębskiego ludu.

Po egzaminie wszyscy wieszowali mi świetnego wyniku, rodzice też byli ze mnie zadowoleni, ale ja czułem, że raz na zawsze jestem zdegradowany z uprzywilejowanego stanowiska.

Prawda, że miałem zaledwie dziewięć lat, a on czternaście, ale ta różnica wieku nikła wobec różnicy naszego położenia, wobec moich bon, guwernantek, nauczycielek, bibliotek, salonów, a z drugiej strony — ubogiej chaty tego chłopca.

Komenda twierdzy Iwangorod, straż ziemska, policja z Ireny czy też żandarmeria powiatowa i forteczna nie mogła nie zauważyć harmonii między naszym domem a wsią. Póki ja i mój brat byliśmy dziećmi, dom nasz nie dostarczał zbyt wielu powodów do podejrzeń. Niepokojono się, co prawda, przyjazdami ze Lwowa naszego stryja Antoniego Skotnickiego, emigranta, jednego z założycieli „Słowa Polskiego”, przyjaciela Popławskiego, Szczepanowskiego, Zimy, profesora Soroczyńskiego i innych działaczy; niepokojono się stałą korespondencją matki z moim wujem, zamieszkałym w Szwajcarii, ale miało to charakter cichej obserwacji, polegającej głównie na rozpieczętowaniu i odczytywaniu korespondencji przychodzącej z zagranicy.

Z chwilą jednak dojścia mojego i brata do lat młodzieńczych zainteresowanie się władz domem naszym poczęło przybierać charakter wyraźny.

Żandarmi pod różnymi pretekstami w czasie naszej nieobecności odwiedzali rządcę majątku, badali zwyczaje i stosunki domowe, a po śmierci ojca dokonano rewizji w naszej bibliotece, zabierając z niej między innymi wszystkie książki francuskie, które zresztą w cztery miesiące później zwrócono. Następnie, w celach obserwacyjnych, w miejscowej szkole na miejsce nauczyciela Polaka wyznaczono Rosjanina-wywiadowcę, a pisarzem gminy w Irenie został stały konfident Ochrany. Poza tym od czasu do czasu zachodzili do nas szpiegowie, podając się zwykle za studentów zamachowców uciekających z Petersburga, prosząc nas o schronienie



przed pościgiem. Tych panów „spławiało” się łatwo, oznajmiając im, że zdajemy sobie sprawę, kim są.

Żandarmerii carskiej, jako organizacji na ogół uczciwszej od policji, obawialiśmy się mniej, natomiast tajnego szpiegostwa i donosicielstwa ze strony policji trzeba było naprawdę się strzec, bo z lada głupstwa potrafiono zrobić poważną zbrodnię polityczną.

Pamiętam doskonale, jak kiedyś oficer żandarmerii zaczął mnie na stacji w Dęblinie i zapytawszy uprzednio, czy jestem Skotnicki, oznajmił mi, że policja z miasteczka Ireny doniosła do władz swoich, a pośrednio również do niego, że ja jeżdżę konno z ostrogami, i że komendant posterunku uważa to za demonstracyjne udawanie oficera polskiego.

— *Ja ich na szczot etowo obrugał* — zakończył żandarm — *no na wsiakij słuczaj snimitie eti szpory, a to czort znajet, czto jeszcze wydumajut, pritom dołożat waszemu diriektoru i gotowy was iz gimnazii prognat*. (Ja im z tego powodu nawymyślałem, ale na wszelki wypadek niech pan zdejmie te ostrogi, bo diabli wiedzą, co jeszcze mogą wymyślić, a przy tym doniosą do waszego dyrektora i gotowi was wypędzić z gimnazjum.)

Muszę przyznać, że nie tylko ze względu na ostrogi mieli powody do nieufności.

Tuż przy naszej granicy leżące wsie Sędowice i Nowy Dęblin miały parę bardzo ładnych bibliotek, składających się z książeczek rolniczych, historycznych i społecznych. Wsie te otrzymywały regularnie „Gazetę Świąteczną” i „Zorzę”. Zimą nie posyłano dzieci do rządowej szkoły, noszącej nazwę „Naczalnoje Uczyliszcze”, lecz utrzymywano z własnych funduszków tajne lotne kursy, które w okresie przynajmniej dwa razy krótszym niż szkoła państwowa uczyły dzieci czytać i pisać, a przede wszystkim historii i geografii Polski. Inicjatorem tych bibliotek i tajnych szkół był mój ojciec, a kiedy umarł w 1891 roku, wzięłem tę robotę na siebie.

Czasy stawały się coraz cięższe. Nastąpiły rządy Hurki i Apuchina. Zmuszało to mnie do coraz większej czujności.

Zazwyczaj pod wieczór wyjeżdżałem konno, niby na spacer, i gubiłem po polach okolicznych wsi książeczki oświatowe. Większe sztuki wkładałem na jarmarkach do wozów znajomych chło-



pów. Jawnie pożyczałem chłopom jedynie niewinne tygodniki ilustrowane, jak „Biesiadę”, „Przyjaciela Dzieci”, „Wędrowca”, albo też książeczki rolnicze. Bywało, że chłopci przynosili do mnie moje „gubione” książeczki z zapytaniem, czy nie należą do mnie, a wtedy kategorycznie się ich wypierałem. Trwało to aż do czasu, gdy musiałem opuścić te strony.

Kiedy po upływie czterdziestu lat zajrzałem znów do Bobrownik, znalazłem tam zmiany ogromne. Pozostała ta sama aleja z wielkimi lipami wiodąca z Dębina do Bobrownik, choć i ją przeredziły wichry i burze. Pozostał nietknięty stary zabytkowy kościół i część starego dworu, ale miasteczko, pięciokrotnie palone, zabudowało się niestylowo i niekulturalnie. Obszar dworski został w połowie rozparcelowany, wszystko zaś to, co znalazłem w otoczeniu dworu, było może bardziej celowe, bardziej dochodowe niż dawniej, za moich czasów, ale inne i mniej romantyczne.

Stosunki z ludnością okoliczną też uległy zmianie. Gospodarz co wieczór przed kolacją obchodził dwór i sprawdzał zamknięcia drzwi i okiennic, bojąc się napadu. Był to dla mnie, żyjącego dawnymi wspomnieniami, obraz nie znany, przykry, świadczący, że coś w ostatnich latach załamało się w życiu wsi.

Spacerkiem zaszedłem do sąsiedniej wioski Sędowice. Wieś ocalała od wojny 1914 roku, minimalne zaszły w niej zmiany. Wszędzie na chałupach widniały te same nazwiska, znane mi z dawnych czasów: Niedbałków, Filipków, Wałasków, Wojewodów. Zaszedłem znowuż do chaty Wojewodów, czystej, kulturalnej, jak dawniej... Powitał mnie ze łzami w oczach sędziwy Jan Wojewoda, pytał o losy moje, o moją rodzinę, o stolicę, o polityczne ruchy, a kiedy go zegnałem, rozłożył ręce przede mną i powiedział:

— Tak, panie, czasy zmieniły się, ale ludzie jeszcze bardziej. Powiadają, że to przejściowe, że to ferment, że dojdzie do stanu lepszego, ale ja tego chyba nie dożyję i z goryczą przyjdzie mi umierać... Ufności do swoich nawet nie ma, a jeśli chłop chłopu nie wierzy, to skąd może być, by chłop dworowi ufał i na odwrót. Ot, wszyscy wzajem na siebie wilkiem patrzą, czasy takie!... Jakiś jad w ludzi wszczepiono i wszczepiają dalej... Ciągłe słyszy się nawoływania nie do zgody, lecz do nienawiści, do walki. W tym jest całe nieszczęście!



Słowa te niewymowny ból mi sprawiły, boć przecież ta polać Polski pozostała mi w pamięci jako miejsce, gdzie beztrosko, pogodnie, wśród przyjaciół młodość moją spędziłem. Nic też dziwnego, że po wielu, wielu latach zateśniłem do tych stron, by znowu po starych drogach, ścieżkach, łąkach samotnie pobłądzić i znowu „se” z Wojewodą w Sędowicach pogwarzyć.

Bardzo bolały mnie te słowa, wypowiedziane przy pożegnaniu.